



MAGDALENA MOSIĘŻNA

MARYLA I DEBORA



Gauka

Maryla i Debora



MAGDALENA MOSIĘŻNA

Urodzona w 1991 roku w Lubaczowie. Wychowała się na Podkarpaciu, w miejscowości Lisie Jamy. W dzieciństwie próbowała sił w poezji. Studiowała w Rzeszowie, planowała wrócić w rodzinne strony, lecz została w mieście dla pewnego rzeszowianina. Prawniczka z nakazu rozumu, pisarka z wyboru serca. Nie wyobraża sobie poranka bez czarnej kawy, wieczoru bez czytania przed snem ani domu bez kota.

Magdalena Mosiężna
Maryla i Debora

Łauka
2020

Copyright © Magdalena Mosiężna, 2020
Copyright © wydawnictwo JanKa, 2020

Wydanie I
[cyfrowe; fragment]
Pruszków 2020

ISBN 978-83-62247-73-8

Moim cudownym Rodzicom,
Jadwidze i Zdzisławowi

(..)

W ogóle to małżeństwo było niezłym widowiskiem – ona, wpatrzona w męża niczym w obraz, on – mówiący do żony „kochanie” takim tonem, jakby to słowo stworzono do drwin. A przecież w ustach Kamila brzmiało najpoważniej w świecie. Maryla zaczynała współczuć pani Gregorowiczowej, ale wtedy przyniesiono lemoniadę i świat znów stał się doskonały. Wypiła napój prawie jednym haustem.

– To co teraz? Może lody? – zaproponował Andrzej.

– Lodów nigdy się nie odmawia. Poproszę miętowo-czekoladowe z bitą śmietaną.

Chwilę potem Andrzej i Lena pograżyli się w dyskusji o twórczości Gombrowicza, natomiast Maryla zajęła się swoimi lodami. Najpierw łączyła w bitej śmietanie kolorowe groszki, które cwaniecko umykały ze szczytu białego stożka, żłobiąc wgłębienia na jego zboczach i lądując gdzieś na dnie pucharu. Gdy w końcu się z nimi uporała, zabrała się do słodkiej mgiełki, trochę już pokierszowanej, ale w smaku – doskonałej. Ostrożnie dozując, nabierała ją na łyżeczkę, po czym zgarniała koniuszkiem języka ze stalowej powierzchni. Wreszcie dotarła do lodów, czystych, nienaruszonych lodów, pozbawionych już ochrony białej pierzynki. Śmiałym ruchem zatopiła łyżeczkę w pucharu i zaczęła nią poruszać, dopóki wyraźnie uformowane gałki nie roztopiły się w zielono-brązową masę. Brała, ile tylko zmieściło się na łyżeczkę, i wkładała

do ust. Mimowolnie przymykała przy tym oczy i odchyłała do tyłu głowę, starając się zatrzymać czekoladowo-miętową rozkosz na języku jak najdłużej. Gdy ilość deseru w pucharze zmniejszyła się drastycznie, zmieniła strategię. Łyzeczka nie krążyła już tylko między pucharem a ustami, chwilami była odkładana na serwetkę, a potem pieczołowicie podejmowana przez smukłe palce. Ruchy Maryli stały się powolne, niemal ociężałe, mogłoby się здаwać, że przestało jej zależeć na tych lodach, gdyby nie oczy – głodne, mierzące uważnie, ile słodkiego szczęścia zostało jeszcze w pucharku. Dopiero wygrzebując ostatki z dna, uświadomiła sobie, że Gregorowicz cały czas ją obserwował: najpierw leniwie, spod półprzymkniętych powiek, lecz z każdą minutą jego wzrokové zaangażowanie rośnie. Deprymował ją tym dziwnym spojrzeniem, które zdawało się wślizgiwać do wnętrza jej ust. Niemal czuła je pod podniebieniem.

– Czemu pan nie zamówił sobie lodów? Widzę, że ma pan na nie ochotę – zagadnęła, wychodząc z założenia, że najlepszą bronią jest atak.

Aleksander zaśmiał się krótko.

– Myli się pani, panno Marylo. Nie lubię słodkości.

– W menu jest dużo innych rzeczy do wyboru.

– Hmm... jak by to pani wytłumaczyć... – Uśmiechnął się poufale. – Gdybym teraz siedział, dajmy na to, u Lijewskiego, to zapewne miałbym ochotę na jakieś danie serwowane tutaj. Podobnie, będąc w ekskluzywnej restauracji we Włoszech, wprawiałbym obsługę w rozpacz, domagając się pierogów. Jak pani określiłaby takie zboczenie?

– Wybredność, i to wyjątkowo ciężkiego kalibru – orzekła bez namysłu.

Gregorowicz pochylił się ku niej i zniżył głos.

– Powiedzmy, że jestem człowiekiem, który zawsze goni za tym, czego nie może zdobyć – oznajmił z naciskiem, zupełnie niepasującym do tej lekkiej pogawędki. Jego twarz przybrała poważny, stanowczy wyraz, ale zaraz schowała się za maską zwykłego uśmiechu.

– A gdy już pan to zdobędzie, traci całe zainteresowanie – dośpiewała mu Maryla.

Aleksander wzruszył ramionami. Pomyślała, że jest jak bohater teatralnej sztuki, uznanej przez wszystkich za oklepaną i banalną, ale w niektórych fragmentach zaskakującą świeżością i trafnością... Siedział tu niby znużony, niedbały, lecz co chwilę składał i rozkładał ręce, splatał niecierpliwie palce, jak człowiek trawiony gorączką. Śmiało taksował Marylę spojrzeniem, które mogłoby zachwiać jej równowagę, gdyby nie uczucie do Kamila, podparte przekonaniem, że myślami Gregorowicz znajduje się zupełnie gdzie indziej. Stanowił fascynującą, choć także męczącą zagadkę. Był trochę podobny do jej brata – obaj światowi i sprawiający wrażenie, że z niejednego pieca już chleb jedli. Andrzej jednak patrzył na widowisko wystawiane przez los z leniwym rozbawieniem, niczego nie pragnąc i nie oczekując, tymczasem Aleksander pozorował znużenie, choć myśli i serce zaprzętała jakaś tajemna sprawa.

– Nad czym pani się tak zadumała, panno Marylo?

– Nad panem – wypaliła szczerze.

– I do jakich wniosków pani doszła?

– Och, tylko rozbolała mnie głowa. Jest pan nie tylko wybredny, ale też nużący, szczególnie na gorące majowe popołudnie. Idę na kort – zwróciła się do brata, pochłoniętego dyskusją z Leną.

– Aleksandrze, może zagrałbyś z panną Marylą? – zaproponowała Gregorowiczowa, odrywając na chwilę uwagę od wyvodu Andrzeja. – Przecież lubisz tenis!

– Nie chcę zamęczać panny Maryli, właśnie uznała mnie za wyjątkowo nużącego towarzysza.

– Maryło, daj mu szansę na korcie – wtrącił się Andrzej. – Zapewniam cię, że podczas gry się rozrusza. Na własne oczy widziałem, jak kiedyś grał z Jędrzejewską.

Maryła natychmiast zapaliła się do gry, ale Gregorowicz wciąż miał obiekcje.

– Leno, nie chcę cię zostawiać.

– Przecież pan Andrzej dotrzyma mi towarzystwa. A ty idź i baw się dobrze!

Aleksander wstał i zdjął marynarkę, natomiast Maryła pomyślała, że ona z pewnością nie zachęcałaby Kamila, by zagrał w tenisa z młodą, ładną kobietą. Czy Lena naprawdę tak ufala mężowi, czy była aż tak zaślepiona? Maryła nie chciała jednak zawdzięczać partnera do gry łasce jego małżonki. Gdy oddalili się nieco od stolika, zwróciła się do towarzysza:

– Proszę nie zmuszać się do tenisa ze mną, jeśli nie ma pan ochoty.

– Ja nie mam ochoty? Przeciwnie, mam wielką ochotę! – zawołał Aleksander z niespodziewaną energią. – Po prostu chciałem, by inicjatywa wyszła od mojej żony. Tak jest bezpieczniej.

Maryła parsknęła śmiechem.

– Złoję pana za te słowa, przysięgam. Zaraz dostanie pan taki wycisk, że popamięta na wieki.

Obiecać Gregorowiczowi solidne lanie to jedno, ale zatriumfować nad nim w rzeczywistości, to już zupełnie inna bajka.

Mógł sobie gadać, że zaniedbał tenis, jednak nie zapomniał, jak się trzyma raketę. Pierwszego seta Maryla przegrała z krete-sem. W drugim zebrała się w sobie i dała Aleksandrowi popalić! W trzecim już oboje byli uważni, dokładni, precyzyjni w każdym ruchu i niezwykle opanowani. Gregorowicz wydawał się rozluźniony, ale z jego twarzy znikł wyraz uprzejmego znudzenia, dokładnie rozważał każdy ruch. W końcu Maryla musiała uznać wyższość przeciwnika. Po przegranej ze zmęczenia opadła na kolana, mając przynajmniej tę satysfakcję, że tanio skóry nie sprzedawała. Aleksander zbliżył się do niej.

– Wygrał pan – wydyszała z podziwem, bez cienia gorzkości.
– Gratuluję. Jest pan świetny.

Podał jej rękę i pomógł wstać.

– Myślę, panno Marylo, że oboje jesteśmy godnymi siebie graczami.

Po powrocie z kortu Maryla zasypała brata pytaniami o Gregorowiczów. Ciekawiło ją, w jakich okolicznościach poznał Aleksandra. Okazało się, że nawet tego nie pamięta. Według niego Gregorowicz należał do kategorii ludzi, których znają wszyscy.

– Zdumiewające, ale on wciąż jest popularny, mimo że ostatnio tak mało udziela się towarzysko. Kiedyś owszem, był złotym młodzieńcem, a potem dziennikarzem skandalistą. Teraz jest już tylko nonszalanckim przystojniakiem, ale jak widać, nie wyszedł z mody. A ty, jakim go znajdujesz? Naprawdę powiedziałaś mu, że jest nużący?

– Tak, lecz to nie do końca prawda – przyznała Maryla. – Owszem, wydaje się przerysowany, ale... ale mam dziwne wrażenie, że nie jest takim sobie zwykłym pozerem. Tylko kim w takim razie? Nie jest artystą, nie robi pieniędzy, niczego nie buduje i nie

odkrywa, z władzą mu nie po drodze, jak sam wspominałeś...
To co się dla niego liczy?

– Miłość, moja droga...

– Miłość! Jeśli to, co on czuje do żony, według ciebie jest miłością, to...

Andrzej roześmiał się szczerze.

– Pfe, co za małomiasteczkowa moralność! Wstyd mi za ciebie, Marylo. Kochać się w żonie, a to dopiero! Jak możesz oskarżać Gregorowicza o takie zacofanie?

– Więc ma kochankę?

– Mówią, że jedną i tę samą od wielu lat.

– Kto to jest? – Zrobiła w myślach błyskawiczny przegląd znanych i pięknych dam, ale usłyszała znacznie większą rewelację.

– Podobno jakaś uboga Żydówka.

Usta Maryli mimowolnie ułożyły się w dużą literę O.

– Jeśli zna ją tak długo, to czemu się z nią nie ożenił?

– A czy życie nie jest właśnie po to, by je sobie jak najbardziej komplikować?

Nie, Maryla nie mogła się zgodzić z takim stwierdzeniem. Wolała jasne sytuacje, zgubiłaby się w gąszczu pogmatwanych uczuć. Całe szczęście, że z nią i Kamilem wszystko było tak proste i oczywiste! Niemniej jednak romans Gregorowicza zaintrygował ją i uruchomił wyobraźnię. Kim była i co takiego miała w sobie kobieta, która niepodzielnie władała jego sercem?

(...)

Ten rok był dla Aleksandra czasem zmagania – z nauką i niespodziewanym uczuciem. O ile z tą pierwszą uporał się gładko i bez problemów zdał maturę, drugie przyprawiało go niemal o chorobę. I co z tego, że umawiał się z maturzystkami, zabierał je na tańce, odprowadzał do domu, całował na progu do utraty tchu, skoro cały czas miał przed oczami Deborę. Każdy przyjacielski uścisk jej ręki celebrował bardziej niż pieścizoty z innymi. Musiał coś z tym zrobić. Postanowił zaprosić Deborę na bal, który organizowano po maturach. Dziewczyna wzbraniała się, wymawiała się brakiem sukienki, ale ciocia Przytycka, która miała pewne plany co do bratanicy, sprawiła jej odpowiednią toaletę. Aleksander zaś myślał, że będzie mógł porównać Deborę z pannami ze swojej towarzyskiej sfery i albo się wreszcie wyleczy, albo... Na razie chorował coraz mocniej, bo jego dama poprosiła o lekcje tańca, a od samej jej bliskości kręciło mu się w głowie.

W dniu balu wziął od ojca auto i podjechał pod dom Przytyckich. Tam ujrzał Deborę w zwiewnej białej sukience i z czarnymi włosami upiętymi w węzeł, i po prostu oniemiał – tak piękną jeszcze jej nie widział. Dziewczyna również była oczarowana jego wyglądem, można rzec nawet – onieśmielona. Milczeli oboje; pani Przytycka za to gadała za dwoje, życząc im dobrej zabawy, zalecając wręcz, by nie śpieszyli się z powrotem, a najlepiej wrócili rano, bo dozorca jest nieużyty i nie lubi wpuszczać po nocach.

– Nie boisz się, że moje towarzystwo skompromituje cię w oczach przyjaciół? – zapytała Debora, gdy wsiedli do auta.

– Oni nie są godni czyścić twoich butów – odpowiedział stanowczo Aleksander, patrząc jednak nie na nią, lecz przed siebie.

Debora po prostu musiała odnieść zwycięstwo. I co z tego, że nie miała sukienki z Paryża, a jej fryzura przy krótkich włosach dziewcząt prezentowała się niemodnie. Nieważne, że one ukończyły gimnazjum, a ona nawet nie przestąpiła jego progów. Aleksander uważał ją za doskonałą i tylko to się liczyło. Umiała się znaleźć w towarzystwie, prowadzić rozmowę, znosić uśmieszki, szeptu i aluzje. Co do niego, to nie przeprowadził planowanej analizy porównawczej, bo poza swoją towarzyszką nie dostrzegł żadnej kobiety, przez większość tańców nie wypuszczał jej z objęć. A kiedy Alinka Sokołowska, jego dawne lekarstwo na zapomnienie, zaczęła rozprawiać przy Deborze o bojkocie żydowskiego handlu, Aleksander wziął przyjaciółkę za rękę i wyprowadził z sali.

– I to ma być przyszła elita naszego kraju! – sarknął. – Wielkie dzięki! Deboro, bardzo mi przykro, że musiałaś tego wysłuchać, naprawdę...

– Słyszałam i widziałam już gorsze rzeczy – powiedziała spokojnie Debora. – Ale nie mam ochoty tam wracać.

– To jedziemy na przejażdżkę!

Zgodziła się z ochotą.

Przejechali Dolny Mokotów, minęli wiele budynków, wyrastających tu jak grzyby po deszczu, zostawili za sobą baraki, jakieś pola, aż w końcu znaleźli się w miejscu, gdzie byli już tylko oni i gwiazdy. Cały świat zamilkł, czekając na jego wyznaczenie nie w słowa ubrane, którego już w żaden sposób nie zdołałby

zatrzymać. A gdy ona odpowiedziała na nie w tak samo bezsłownym języku, z jednakową pewnością i mocą, nikt i nic nie mogło ich ocalić przed nimi samymi. Debora wprawiła Aleksandra w zdumienie, ściągając pośpiesznie sukienkę i składając ją pieczołowicie, żeby nie dostać od cioci bury za jej zniszczenie. Halka także okazała się zbyt cenna, by ją narażać, powędrowała więc za suknią i oczom oniemiałego Aleksandra ukazała się Debora – uwolniona z fatalaszków, taka, jakiej najbardziej pragnął.

Już po wszystkim spoglądał z niewygasłym zachwytem i zdumieniem na Deborę. spokojnie naciągającą rękawiczki, wygładzającą halkę, i mimo woli zastanawiał się, jak może być taka opanowana, taka sama jak zawsze. Czy ona nie miała poczucia jakiejś moralnej katastrofy, niepowetowanej straty? Zawsze wydawała mu się tak surowa pod tym względem. A oto zakładała starannie na głowę kapelusze i uśmiechała się do niego, nie wygładzając na choć trochę przejętą.

Jednak kilka tygodni później, leżąc w jego objęciach, spytała:

– Czy uważasz, że jest w tym coś złego?

– A co ty czujesz? – odpowiedział pytaniem.

– Czuję, że to jest dobre – odparła stanowczo. Ta wewnętrzna siła, kierująca jej życiem, okazała się dla niej ważniejsza niż dziesięcioro przykazań.

W miłości, jak we wszystkim innym, Debora była poważna, surowa i praktyczna. Oznajmiła Aleksandrowi, że może całować ją wszędzie, tylko nie w szyję, bo wtedy łatwo o ślady. Nigdy nie rzucała z siebie ubrań gwałtownie, lecz składała je równiutko, jakby i w takiej chwili to one najbardziej się liczyły. Jej powściągliwość nieraz doprowadzała Gregorowicza do granic wytrzymałości.

Nie szafowała miłosnymi zaklęciami, czasami jednak, natrafiając w wędrownce ust po jego ciele na miejsca z pozoru nieoczywiste, umocniona w prawach posiadaczki, szeptała: „Lubię to zagłębienie przy obojczyku. I twoje nadgarstki. Masz piękny nos, wiesz?”

Dwoje małałatów biegających po Starym Mieście mogło umknąć uwadze sąsiedztwa, ale młody, dobrze ubrany mężczyzna i młoda, ubogo wyglądająca kobieta, widywani razem, zawsze zwracali na siebie uwagę. Plotki o żydowskim romansie Aleksandra szybko dotarły na Brzozową, do Gregorowicza seniora. To był prawdziwy cios dla profesora! On, który pragnął dla syna kobiety nieprzeciętnej pod każdym względem, miałby znieść jego związek z jakąś pospolitą dziewczyną? Żydówką w dodatku?! Gregorowicz nie był antysemitą, miał nawet przyjaciół wśród zasymilowanych Żydów, ale tu przecież chodziło o najbliższą rodzinę! Coś musiał zrobić. Dobrze wiedział, że jeśli spróbuje zakazać synowi tej miłości, to tylko silniej zwiąże go z dziewczyną. Postanowił działać inaczej. Najpierw jednak należało upewnić się, czy plotki są prawdziwe. Zapytał syna wprost, a ten, patrząc ojcu w oczy, wszystko potwierdził. Oznajmił, że kocha Deborę i zamierza ją poślubić, gdy tylko skończy dwadzieścia jeden lat. Spodziewał się tęgiej awantury po tym wyznaniu, tymczasem słowa, które usłyszał, wprawiły go w osłupienie: ojciec zaproponował mu dokończenie studiów inżynierskich w Zurychu.

– Ależ tatku! – wykrzyknął zdumiony. – To będzie kosztować majątek!

– Nigdy nie oszczędzałem na jedynym synu i nie zamierzam tego robić. Uważam za niezwykle istotne, abyś poznawał nowe miejsca i ludzi.

Aleksander był w kropce. Te studia naprawdę otwierały mu drzwi na świat, którego pragnął. Nigdy nie uważał Polski za sensowne miejsce do życia. Jeśli jednak ojciec chciał go rozdzielić z Deborą...

– Posłuchaj mnie, synu – odezwał się Gregorowicz senior. – Ja ożeniłem się dopiero, gdy zrobiłem doktorat. Moje narzeczeństwo trwało przez kilka lat. Czy nie sądzisz, że przed oświadczeniami powinienes najpierw skończyć studia, urządzić się w życiu? Gdy to zrobisz, przysięgam, że nie będę wybierał ci żony. Proszę, przemyśl to.

Aleksander już wszystko wiedział. Chciał podróży i chciał Debory. Nie zamierzał rezygnować z niczego ani odkładać swego szczęścia na później. Następnego dnia pobiegł do Ogrodu Saskiego, gdzie na jednej z ławek czekała już na niego dziewczyna. Nim jeszcze zdążył dobrze usiąść, oznajmił jej o propozycji swego ojca, dodając pośpiesznie:

– Pojedziesz ze mną, Deboro. Może nie od razu, najpierw ja się tam urządzę, a potem przyślę ci bilet i dołączysz do mnie. Wyobrażasz to sobie? Nas, razem, nad Jeziorem Zuryskim? – mówił z radością, entuzjazmem, chcąc ją tym zarazić, ale oblicze dziewczyny było zamglone, nieodgadnione.

– Naprawdę byłbyś w stanie to wszystko zostawić? – zapytała po chwili cicho. – Ojca, dom, kraj?

– Może kiedyś tu wrócę – mruknął Aleksander. – Ale wcale mi na tym nie zależy. Co to za kraj, który zawsze będzie daremnie gonił za cywilizowanym światem. Nie wierzę w sanację, jak mój ojciec. Wierzę tylko w nas. Niczego mi tu nie żal zostawić.

– A mnie, owszem, byłoby żal. Rodziców, rodzeństwa, ciotki, sutereny, tej nędznej sutereny, jedyne go kąta, który mogę nazwać moim, też – wyliczała. – Miasta, w którym się urodziłam

i spędziłam całe życie. Jak można to rzucić, ot tak? Jak można nawet o tym pomyśleć?

Aleksandra poraziła stanowczość jej opinii. Poczł głębokie zdumienie, zaprawione rodzącym się gniewem.

– Powiedz mi, co ciebie tutaj trzyma? Rodzina? A cóż jej zawdzięczasz prócz tego, że żyjesz? Albo temu miastu, które nie ma dla ciebie odpowiedniego kąta, nigdy nie dało żadnej pomocy? A może jesteś coś winna temu państwu? – Zerwał się z ławki. – Tutaj nawet gdybyś została żoną prezydenta, to i tak by wrzeszczeli, że jesteś brudną Żydówką. W tym kraju każdy wlecze za sobą balast jakiejś przeszłości, wiecznie pokutuje za niepopelnione winy. Ja natomiast chcę myśleć o przyszłości i tylko o niej.

– Nie będzie żadnej przyszłości, jeśli wyrwiesz własne korzenie.

– Więc chcesz tu zostać w imię taniego sentymentalizmu? Niczego już nie rozumiem!

Prolog 8

Rozdział I

Rzecz nietrudna i nienowa 22

Rozdział II

Dwa bezdroża 72

Rozdział III

Dni przedostatnie 120

Rozdział IV

Któż nam powróci... 168

Rozdział V

Nie zatrzymam cię 212

Rozdział VI

Niepodobieństwo kamieni 258

Rozdział VII

Miłość bez jutra 296

Rozdział VIII

Szczęśliwa 330

Okladka:
Anna Koźbiel-Walas, Adam Walas

Zdjęcie autorki:
Łukasz Grata

Redakcja i korekta:
Janina Koźbiel, Jan Koźbiel

Skład i łamanie:
MJK

ISBN 978-83-62247-73-8
[fragment]

Wydawnictwo JanKa
ul. Majowa 11/17
05-800 Pruszków
694 536 051
wydawnictwo@jankawydawnictwo.pl
www.jankawydawnictwo.pl

Wierność jest podstawą zaufania, a bez zaufania nie ma trwałej więzi, ale trudno stawiać sobie za najważniejszy cel zachowanie wierności, gdy zagrożone jest życie, własne lub bliskich. Już w prologu powieści jedna z bohatererek zdradza męża, by pomóc choremu synowi. Nie można oceniać jej postępowania, nie biorąc pod uwagę nadzwyczajnych okoliczności, w których się znalazła. Tak, moi bohaterowie zdradzają, a ja im na to pozwalam. To wielki przywilej pisarza, móc przekraczać granice, których we własnym życiu nie chciałby naruszyć.

Magdalena Musiężna

Dwie młode kobiety. Dwie postawy. Losy, które dramatycznie się splatają. Wprawdzie obie żyją w jednym mieście – przedwojennej i wojennej Warszawie – ale jakby na innych planetach. Maryla Wetlińska pochodzi z zamożnej rodziny, ma kochającego męża i spodziewa się dziecka. Debora Leman, pozostając w związku z żonatym mężczyzną, wie, że ona i Aleksander nie stworzą prawdziwego domu. Poznają się kilka dni przed wojną, gdy ciężarna Maryla mdleje na ulicy, a pielęgniarka Debora udziela jej pomocy. Jesienią 1942 r. spotkanie jest równie symboliczne: uciekająca z getta Żydówka staje w progu domu Wetlińskich, szukając schronienia po aryjskiej stronie: Maryla musi odpowiedzieć sobie na pytanie, czy warto ryzykować istnienie swego świata, aby uratować świat zupełnie obcy.

Powieść o męskich i żeńskich wyborach, instynkcie życia i śmierci, wierności i zdradzie, pierwsza część trylogii, ukazującej dzieje kilku warszawskich rodzin w dwudziestoleciu, czasach wojny i PRL.

Cena: **36 zł**

ISBN 978-83-62247-73-8



9 788362 247738

Patronat medialny:

